

Szarzyzna i prawdziwe perły

ZE ZDZISŁAWEM JÓZEFEM KIJASEM OFMConv, teologiem, postulatorem generalnym franciszkanów, rozmawia Marcin Walczak

Czy badając życie przyszłych kanonizowanych, może Ojciec potwierdzić, że najczęściej przechodzili oni próby wiary i przez wierne trwanie przy Bogu dojrzewali w świętości?

Znoszenie trudów i cierpień to klasyczny temat w życiu wiary. Czymś zupełnie normalnym jest to, że wiara próbowana jest przez rozmaite doświadczenia fizyczne lub czysto duchowe. Często drodze wiary towarzyszy też zmaganie się z przyjmowaniem i rozumieniem tego, co przynosi życie. Nie ma osoby, która byłaby dojrzała w swojej wierze, a która nie przeszłaby poważnej próby. Jakaś forma cierpienia zawsze wpisana jest w życie osoby wierzącej. Rozstrzygające natomiast okazuje się to, jak osoba ta do swojego cierpienia się odnosi. Bo ostatecznie nikt przecież nie pozostaje wolny od cierpienia – dotyka ono zarówno wierzących, jak i niewierzących. Być może dla osób niemających wiary cierpienie stanowi nawet większą próbę. Ale i dla wierzących nie ma żadnych łatwych pociech i banalnych wyjść z trudnych sytuacji. Warto zauważyć, że wiele osób traci czy odrzuca wiarę właśnie pod wpływem cierpień. Zdarza się, że one kogoś totalnie łamią, sprawiają, że nie jest już w stanie znaleźć sensu w swoim życiu. W każdym razie cierpienie jest fenomenem po prostu ludzkim, wpisanym w ziemską egzystencję człowieka, zaś sposób jego przeżywania zależy od głębi ducha danej osoby, od bogactwa jej życia wewnętrznego.

To by znaczyło, że święci to nie tyle ci, którzy więcej cierpią, ile raczej ci, którzy potrafią z wiarą cierpienie przyjąć?

Tak, potrafią przyjmować je z Bogiem. Nie szukają sobie sami cierpień. To byłby jakiś masochizm. Święty potrafi przyjmować wolę Bożą w każdej chwili swego życia, także w cierpieniu. Wyobraźmy sobie, że ktoś w ramach swojej drogi duchowej wychodziłby na plac miasta i wołał: „Jestem gotowy na przyjęcie cierpienia! Proszę, zadawajcie mi ból!”. Byłoby w tym coś chorego. Rozróżnienie pomiędzy prawdziwą świętością a cierpiętnictwem zaznacza się mocno w procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych męczenników. Gdyby się okazało, że ktoś świadomie szukał męczeństwa lub wręcz prowokował sprawcę, Kościół nie uzna go za świętego męczennika. Nawet fakt, że ktoś miał możliwość ucieczki przed śmiercią bez jednoczesnego zaparcia się wiary, a z tej możliwości nie skorzystał, nie pozwala na uznanie za świętego męczennika. Takie zasady obowiązują nas w procesach prowadzonych w Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych. Życie człowieka jest fundamentalną wartością, wielkim darem od Boga. Nie można tym życiem pogardzać. Zostało nam dane po to, byśmy chwalili Pana. Jeśli ktoś prowokuje swoją śmierć, to nie ma w nim miłości do życia danego przez Boga. Prawdziwy męczennik to zatem nie samobójca i nie prowokator. To nie ktoś, kto celowo igrał sobie z oprawcą, by ten odebrał mu życie. To osoba, która do końca pragnęła zachować swoje życie, ale stanęła przed koniecznością dania radykalnego świadectwa miłości do Boga. Męczennik rozpoznaje, że w danej chwili nie może już uciec, ale musi dać świadectwo aż po śmierć. Nie chce umierać, ale godzi się ostatecznie na oddanie swojego ziemskiego życia w obronie wartości stojących u podstaw tego właśnie życia, czyli w obronie Boga, wiary w Niego, czy w obronie wartości płynących z wiary (np. ślubów zakonnych), czy wreszcie w obronie drugiego człowieka, którego godność została śmiertelnie naruszona.

Czy może Ojciec podać konkretny przykład wydarzeń z życia kogoś z przyszłych błogosławionych, kogo cierpienie ciągnęło się latami?

Pytanie o cierpienie zawsze było dla mnie bardzo ważne, nie tylko teologicznie, ale też po prostu życiowo. Wiele lat pracowałem jako kapelan w szpitalu, stykałem się co chwilę z ludźmi poważnie chorymi. Sam także miałem osobiste przeżycia związane z cierpieniem. Dlatego chciałem bardzo napisać jakąś książkę o cierpieniu, ale tak, by nie teoretyzować, tylko prawdziwie pokazać jego życiowy wymiar. Postanowiłem napisać o tym w kontekście pewnej Służebnicy Bożej, mianowicie Kazimierzy Gruszczyńskiej. To osoba dość mało znana, choć od niedawna przysługuje jej już tytuł Czcigodnej. Urodziła się w Kozienicach koło Radomia, była założycielką Sióstr Franciszkanek od Cierpiących. Przez długie lata kierowała przytuliskiem w Warszawie, a sama również bardzo cierpiała, prawdopodobnie chorując na nowotwór. Zmarła w 1927 roku. Gdy jako relator przeglądałem jej pisma w ramach toczącego się procesu beatyfikacyjnego, uderzyło mnie jedno zdanie. „Jak człowiek cierpi, to z większym zrozumieniem wypowiada słowa: Bądź wola Twoja”. Sama Kazimiera cierpiała kilkadziesiąt lat, na różne sposoby. Było to cierpienie fizyczne, ale też związane z zakładaniem zgromadzenia. Do tego doszła utrata mamy i rodzeństwa, a także współczucie wobec cierpiących, którymi się opiekowała. W jej słowach nie ma żadnego teoretyzowania na temat cierpienia. Można w nich znaleźć coś z ducha Brata Alberta.

Inną osobą godną wspomnienia jest Hanna Chrzanowska, błogosławiona już polska pielęgniarka. Także w jej procesie beatyfikacyjnym miałem radość brać udział. Ona również umierała na nowotwór. Ogromnie cierpiała z powodu choroby, ale z oddaniem służyła innym cierpiącym ludziom. Postacią wartą wymienienia jest też Czcigodna Służebnica Boża Rozalia Celakówna, która dobrowolnie zgłosiła się do pracy na oddziale chorób wenerycznych krakowskiego szpitala. Nikt nie chciał tam pracować, bo nie było jeszcze dzisiejszych środków dezynfekcyjnych, a odór gnijącej skóry był czymś okropnym. Celakówna i inne święte osoby dają przykład tego, że można w cierpieniu wchodzić i je przyjmować, nie omijając go i nie uciekając przed nim. Nie trzeba retuszować życia człowieka, ono po prostu ma także wymiar cierpienia. Co więcej, święci pokazują, że przyjmowanie cierpienia z wiarą pomaga człowiekowi wzrastać i czyni je nieco mniejszym, jakby cierpieniem nie było.

Co oni sami mówili o tych trudnych przeżyciach? Które z cierpień, jakich doświadczyli, było dla nich najtrudniejsze? Niezrozumienie otoczenia, samotność, nieufność przełożonych czy może coś jeszcze innego?

Świętych poznajemy najczęściej dopiero po ich śmierci. Wcześniej ich świętość znał tylko Pan. Możemy jednak dotrzeć do świadków i do źródeł, dzięki którym dowiadujemy się, jak dana osoba żyła, co myślała. W życiu świętych uderza fakt, że oni ze swoim cierpieniem się nie obnosili. Nie było w nich nic z uzalania się nad sobą ani też z moralnego ekshibicjonizmu. Święci to nie cierpiętnicy, którzy powtarzają w kółko, jak to wielce cierpią i jak ciężki dźwigają krzyż. Raczej mieli w sobie gotowość pokornego znoszenia trudów i cierpień, przyjmowania coraz to kolejnych. Cierpienie było dla świętych niekiedy wręcz powodem do radości z tego, że mogą upodabniać się do Chrystusa, być blisko Niego, który cierpiał dla nas i dla naszego zbawienia, a nawet umarł za nas. To właśnie w tych ludziach jest fascynujące, choć czasem trudne do zrozumienia. By to dobrze pojąć, trzeba naprawdę dobrze zrozumieć danego świętego, wgryźć się w jego życiorys i pisane przez niego teksty.

Wróć do przykładu Kazimierzy Gruszczyńskiej. Niewiele pisała ona wprost o cierpieniu. Nie koncentrowała się na nim, wspominała o nim jakby mimochodem. Raz napisała na przykład, że nie może iść na jakieś spotkanie, bo od tygodnia przykuta jest do łóżka. Tego rodzaju drobne wzmianki nie rzucają się w oczy przy pobieżnej lekturze, a jednak są bardzo znaczące. W świętych piękne jest właśnie to, że nie chwala się cierpieniem, lecz mężnie je znoszą. Przyjmują cierpienie z głęboką intencją. Od tej pory nie jest już ono dla nich czymś powierzchownym,

zewnątrznym. Staje się ich cenną wartością, wręcz bogactwem, jakby znakiem przynależności do cierpiącego Sługi Jahwe, o którym pisze prorok Izajasz.

Warto pamiętać na przykład o św. Franciszku, który otrzymał pod koniec życia dar stygmatów, ale je ukrywał, bo czuł się niegodny tego daru. Tak przyjmowali swoje cierpienie ludzie prawdziwie święci. Krępowali się, bo wydawało im się, że nie dorastają do trudnego daru cierpienia, że nie są go godni, bo ich miłość do Zbawiciela nie jest równie wielka, co dar cierpienia, jaki otrzymali. Brzmi to może paradoksalnie, ale tak właśnie odczytywali święci cierpienie. Było dla nich najśłodszą łaską Pana.

Jaką hagioterapię w duszpasterstwie by Ojciec proponował wobec „tych, co się źle mają”? Jak uczyć jej przyszyłych spowiedników i kapelanów szpitalnych?

To bardzo złożona sprawa i chyba nie sposób odpowiedzieć na to pytanie krótko. Natomiast spróbuję coś powiedzieć na podstawie własnego doświadczenia posługi kapelana na oddziałach kardiologicznym i onkologicznym. Otóż najważniejsze jest po prostu to, żeby być obok chorego. Zanim zacniemy cokolwiek mówić, pocieszać, najważniejsze jest to, aby naprawdę być obecnym. Przychodzi mi tu na myśl Ewangelia o miłosiernym Samarytaninie. Zanim połał winem i oliwą rany poszkodowanego, po prostu zatrzymał się koło niego. Rzecz w tym, by najpierw dostrzec cierpiącego, niezależnie od rodzaju cierpienia. Są cierpiący w szpitalnych łóżkach, są cierpiący w domach, są wreszcie tacy cierpiący, po których na pierwszy rzut oka nawet nie widać, że cierpią. Kolejna sprawa to mądra pomoc. Trzeba rozeznaczyć, jak pomóc cierpiącemu. Jednemu potrzebne jest słowo, innemu lekarstwo, rozmowa, innemu polecenie dobrej książki. Czasem cierpiący, który zbliża się do śmierci, chce się wygadać, opowiedzieć swoją historię życia. Wszystko to wymaga cierpliwości i wytrwałej obecności. Co to oznacza dla kogoś, kto chce takiej pomocy udzielać? Że musi on zgodzić się na obumieranie swojego ego. Musi z czegoś zrezygnować, choćby z własnej wygody, by naprawdę wspierać cierpiących. Trzeba stać się gąbką, która przyjmuje cierpienia i słowa chorego. Wszystko to idzie mocno na przekór dzisiejszym tendencjom do eksponowania siebie, do indywidualizmu. Kto chce być przy cierpiącym, musi stracić swój czas, swoje upodobania, swoje plany. To też rodzi, zresztą, swego rodzaju cierpienie.

O tym, że najważniejsze jest bycie przy cierpiącym, przypomniła nam pandemia. Najgorsza była przecież samotność umierających na COVID-19. Święci tymczasem często chcieli towarzyszyć tym, którzy umierają. Śmierć była dla nich momentem szczególnym, pragnęli wspierać konających. Można powiedzieć, że śmierć to moment największej wolności człowieka. Staje się on wtedy najbardziej autentyczny, opadają wszystkie jego maski. Jest to moment całkowitego ogołocenia, nic nie znaczą już słowa czy pieniądze. W tej właśnie egzystencjalnie niewygodnej, bolesnej chwili warto człowiekowi towarzyszyć, by nie odrzucił wiary, nie odrzucił Boga, lecz przyjął swoją śmierć, ale żeby odczytał ją nie jako odejście w nicość, tylko – jak odczytuje ją wiara – jako wejście w głębszą zażyłość z Bogiem, w nową odsłonę życia. Najtrudniejszy jest ów niewidoczny „próg” między etapem życia zmysłowego i tym wyłącznie duchowym. To moment graniczny. Badając życie męczenników, przyglądamy się również temu, jak zachowywali się w ostatnim momencie swojego żywota. W chwili śmierci można osiągnąć pełnię świętości, ale może też w człowieku pojawić się bunt i złorzeczenie. Ktoś wydawał się heroicznym chrześcijaninem, ale konfrontacja ze śmiercią zadała temu kłam.

Podsumowując, duszpasterstwo chorych to najpierw zawsze duszpasterstwo obecności. Wpierw trzeba być przy cierpiącym, a potem zastanowić się, jak można mu pomóc.

Wśród beatyfikowanych i kanonizowanych dominują duchowni, siostry zakonne. A jak dbać o stosowne procesy rodzin, matek, ojców i dzieci? Zakonom i diecezjom łatwiej o dokumentację i środki, a świeckim...?

To rzeczywiście pewien problem, na który składa się wiele czynników. Warto jednak zacząć od tego, że nie ma i nie może być czegoś takiego, że ktoś jest na siłę beatyfikowany wyłącznie dzięki poparciu konkretnych osób czy instytucji. Każdy, kto podlega procesowi beatyfikacyjnemu, najpierw musi cieszyć się tak zwaną sławą świętości. I to nie tylko ściśle lokalnej, na przykład wewnątrz zakonu. Nie ma zatem możliwości, by czyjaś świętość „sfabrykować”, sztucznie wytworzyć. Potrzebna jest realna opinia Ludu Bożego, czyli różnych stanów, które ten lud tworzą, o świętości danej osoby. Świętość to nie jest wynoszenie kogoś na ołtarz. Nie lubię tego określenia i przeciw niemu oponuję. Świętość, wręcz przeciwnie, to odkrywanie, że w osobie świętej jakby niebo zstąpiło na ziemię. Kościół nikogo nie uświęca, to Bóg uświęca człowieka, ludzie zaś odkrywają, że dany człowiek był szczególnie blisko Boga, doświadczają jego orędownictwa i widzą w nim pewien wzór postępowania. Bóg potwierdza ich przeczcucia znakiem cudu. Jest on właśnie takim Bożym palcem, wskazującym, że Bóg ma upodobanie również w danej osobie.

Dlaczego jednak częściej błogosławionymi i świętymi ogłasza się osoby duchowne czy zakonne? To wielowątkowa kwestia. Żeby rozpocząć proces beatyfikacyjny, potrzebna jest szczegółowa dokumentacja. Zakony czy diecezje są w stanie taką wydobyć i przygotować, natomiast w przypadku świeckich cieszących się opinią świętości często jest to niemożliwe. Ktoś musiałby instytucjonalnie zadbać o to, by prowadzić procesy takich osób. Jak można by to zrobić? Przychodzi mi do głowy jedna bardzo konkretna sugestia. Przy episkopacie Polski działa cały szereg gremiów doradczych, na przykład do spraw mediów czy do spraw rodziny. Można by powołać także komórkę, która zajmowałaby się wyszukiwaniem godnych uwagi i stawiania za wzór postaci niezwykłych świeckich katolików, a następnie gromadzeniem dokumentacji do ich procesów beatyfikacyjnych. Takich postaci, które warto by wyeksponować, mamy w Polsce naprawdę sporo. Są to wielkie wzorce zarówno ojców i matek, jak i ludzi młodych czy zaangażowanych społecznie. Na początek można zadbać o to, by daną osobę szerzej poznano w Kościele, i w tym celu wydrukować obrazki, zorganizować jakąś konferencję. Warto jednak pamiętać, że za sprawą otwarcia procesu w Watykanie nie może stać wyłącznie jedna osoba. Potrzebna jest konkretna instytucja. Stąd wynika moja propozycja odpowiedniej rady przy Konferencji Episkopatu Polski.

Wiele jest spraw beatyfikacyjnych. Czy wyniesienie na ołtarze to ideał? Czy nie należałoby dziś promować też innych form ukazywania świętości wiernych? Co może i powinien zrobić w tej sprawie konkretny duszpasterz?

Trzeba po prostu opowiadać o takich inspirujących osobach. Gdy ludzie o nich słyszą, często coś się w nich zapala. Osoba święta, nawet niekanonizowana, zaczyna pociągać, inspirować, bywa też proszona o orędownictwo. Może to doprowadzić do procesu beatyfikacyjnego, ale nie musi. Najważniejsze, by mieć przykłady heroicznej wiary, pięknego i ofiarnego życia, i z tych przykładów czerpać. Wokół mamy tyle negatywnych przykładów i tyle szarzyzny, że często nie dostrzegamy prawdziwych pereł. Warto eksponować tych, którzy naprawdę żyli Ewangelią. Robił to na przykład dawny biskup łódzki, Bohdan Bejze, w serii książkowej *Chrześcijanie*. Publikował w niej życiorysy znaczących osób, mogących być przykładem życia wiary. Niektóre z tych osób pewnie nie zostaną ogłoszone świętymi, ale to nie zmienia faktu, że warto o nich mówić.

Zdaje się, że w czci świętych dominuje forma kultyczna. Świadczą o tym różne publikacje litanii i nowenn. A co z naśladowaniem...?

Nie stawiałbym tu żadnej opozycji. Czasem to właśnie modlitwa jest początkiem wszystkiego i to ona nas kształtuje. Tak samo nasz szczególny stosunek do danego świętego może zacząć się właśnie od modlitwy przez jego wstawiennictwo. Potem przychodzi czas na naśladowanie. Konkretny kształt relacji ze świętymi zależy od naszego stanu, kontekstu życia i od osobistej drogi wiary. Jeśli ktoś jest na przykład obłożnie chory, to wiadomo, że jego relacja ze świętym będzie polegała na odmówieniu jakiejś litanii. Ktoś inny wzywa orędownictwa świętego w kontekście życiowych wyzwań i apostoelskich zadań. Czasem inspirowanie się świętym, naśladowanie go zaczyna się właśnie od tego, że ktoś otrzymał na przykład jakiś obrazek. Formy czci nie stoją więc w opozycji do naśladowania, ale mogą do tego prowadzić. Gdy człowiek jest w kościele na nabożeństwie, oddaje chwałę Bogu w danym świętym. Potem idzie do pracy, zakasuje rękawy i stara się tego świętego naśladować. Wszystko zależy więc od pory dnia, momentu w życiu i miejsca w Kościele. Świętość jest wielopłaszczyznowa i taka jest też nasza cześć wobec świętych.

Na pewno warto pamiętać o obu podstawowych wymiarach obecności świętych w naszym życiu. Po pierwsze, są oni wzorami, przykładami do naśladowania, pedagogami życia wiary. Po drugie, są orędownikami. Wierzmy, że ci święci ludzie orędują za nami, gdy ich o to prosimy. Orędownictwo nie oznacza jednak, że ktoś za nas przeżyje nasze życie. Przeciwnie, chodzi o umocnienie, byśmy szli mężnie za Bogiem. Patrzenie na świętych ma służyć temu, żebyśmy sami wyruszyli w kierunku świętości.